Jak tam z polityką fiskalną państwa - opinia Głównego Ekonomisty ZPP Piotra Korysia

Abstrahując od dyskusji o kształcie budżetu nowego rządu, trzeba pytanie o to, jak powinna wyglądać przyszła polityka fiskalna. Czy zasadna jest koncepcja głębokich oszczędności? A jeśli, to czy ograniczać wydatki na inwestycje publiczne, czy raczej na potrzeby społeczne? Jak je rozgraniczyć?

Odpowiedź na to pytanie jest złożona bardziej niż się wydaje. Zacznijmy od historycznych kontekstów. Po roku 1976 zawiodła w Polsce polityka pospiesznego wydawania pieniędzy na cele inwestycyjne i na finansowanie wydatków konsumpcyjnych. W gospodarce powszechne stało się zjawisko, które ówcześni opozycyjni ekonomiści, jak Waldemar Kuczyński, określili mianem przeinwestowania. Koszty nowych inwestycji gwałtownie rosły ze względu na ograniczoną dostępność siły roboczej, a często również kapitału rzeczowego i pieniężnego. Zakupione na wyrost maszyny rdzewiały i niszczały. Po wejściu do UE rozpoczął się wielki proces budowy nowoczesnej sieci drogowej w Polsce. Miał on znaczenie cywilizacyjne, jednak szybki napływ środków pomocowych sprawił, że administrujący nim urzędnicy nie ustrzegli się błędu przeinwestowania. Ograniczona dostępność siły roboczej, maszyn, a także materiałów niezbędnych do budowy dróg sprawił, że doszło do gwałtownej nierównowagi rynkowej.   
W efekcie nastąpił wzrost cen pracy i materiałów, co stało się wyzwaniem dla firm budowlanych, które z nieba publicznych kontraktów trafiły do piekła. Wiele z nich tego nie przetrwało. Z drugiej strony pamiętamy też udany projekt socjalnej polityki dystrybucyjnej   
z ostatnich lat: 500+. Wprawdzie nie spełniło ono celów demograficznych, ale stało się symbolem polityki w dość udany sposób hamującej narastanie nierówności. O ile nierówności dochodowe i majątkowe w społeczeństwach kapitalistycznych są zjawiskiem zasadnym   
i wspierającym rozwój, to nierówności wykluczające pewne grupy społeczne w partycypacji   
w rozwoju pożądane już nie są. Pamiętamy tez, że polityka oszczędności z początku lat 1990 przyniosła nam sukces transformacyjny. To zaciskanie pasa wtedy zagwarantowało, że szok transformacyjny był krótki i jak się później okazało relatywnie krótki, a czas wzrostu gospodarczego - długi i stabilny.

Partie, które wciąż określamy jako opozycyjne, choć wkrótce utworzą koalicję rządową, zobowiązały się w programach do licznych, często kosztownych fiskalnie programów społecznych oraz inwestycji publicznych. Tuż po wyborach licznie pojawiły się głosy, że Polski na to nie stać, a obietnice formułowano bez faktycznej znajomości stanu finansów publicznych. To było dość zaskakujące – nikt przecież ich nie ukrywał, nawet tzw. wydatki pozabudżetowe, jeśli to o nie chodziło, były możliwe do sprawdzenia, a przynajmniej oszacowania. Oliwy do ognia dolali ekonomiści, którzy podpisali się pod listem do opozycji, by wywiązała się ze zobowiązań wyborczych, ponieważ – ich zdaniem – możliwości budżetu na to pozwalają.

Czego się więc spodziewać. Przyszły rok, tak jak i ten, jest rokiem wyborczym. Kolejny zresztą też. Czekają nas wybory samorządowe, wybory do parlamentu europejskiego oraz wybory prezydenckie.   
A jak opadnie kurz po tych ostatnich już całkiem niedaleko będzie do wyborów parlamentarnych (2027). Przynajmniej część zobowiązań i obietnic będzie więc realizowana – chociażby z powodu krótkookresowych potrzeb politycznych. Niestety należy się obawiać, że często dotyczyć to będzie kwestii wydatków społecznych, a nie kluczowych inwestycji. Trzeba jednak podkreślić, że zobowiązań wobec nauczycieli, a także – w pewnym stopniu wobec administracji publicznej – nie należy wprost ujmować w tych kategoriach. Kryzys polskiej szkoły wynika m.in. z niedofinansowania nauczycieli. Wzrost wynagrodzeń, zwłaszcza jeśli byłby częścią polityki projakościowej w szkole jest jak najbardziej uzasadniony. Na razie niestety nie słychać nic o tym, by spróbować przynajmniej wprowadzić elementy premiowania jakości nauczania, stworzyć bodźce do przyciągania naprawdę utalentowanych absolwentów uczelni do sektora, by przestał to być trzeci czy czwarty wybór dla podejmujących pracę. Szkoła mogłaby też przyciągać, na stałe czy okresowo, wypalonych pracowników korporacji odnajdujących drugie powołanie – ale na pewno nie taka szkoła jak dziś, z przeciążonymi dodatkowymi pracami, sfrustrowanymi nauczycielami. Podobnie, wzrost wynagrodzeń   
w administracji powinno się powiązać z optymalizacją jej działania. Model, który od lat panoszy się w Polsce, wynagradzania dodatkowego osób na wyższych stanowiskach i tych najwierniejszych a to stołkami w radach nadzorczych, a to możliwością przeskoczenia do zarządów spółek publicznych nie jest dobrym rozwiązaniem.

O ile podwyżki wynagrodzeń w sferze publicznej – bo to jest rozwiązanie, które w pewnym stopniu zapewne wejdzie w życie – potraktować można z mniejszymi lub większymi zastrzeżeniami jako inwestycję w przyszłość, to rezygnację z inwestycji publicznych trzeba będzie potraktować dokładnie odwrotnie. Pisałem o tym już, że to polityka gwarantująca dość proste osiągnięcie redukcji wydatków budżetowych, ale jednocześnie rodząca ryzyko niekorzystnej trajektorii ewolucji polityk publicznych w ogóle.

Mam nadzieję, że polityka oszczędnościowa będzie realizowana w sposób przemyślany,   
a nowy rząd powstrzyma się z jednej strony przed nadmiarem politycznie uwarunkowanych wydatków, a z drugiej nie zapomni o tym, że oszczędzanie nie powinno mieć antyrozwojowego charakteru.

***Dr hab. Piotr Koryś***

***Główny Ekonomista Związku Przedsiębiorców i Pracodawców***